

## W kraju ślepców



*Szczęście ty moje*,  
scenariusz i reżyseria  
Siergiej Łoźnica, Holandia-  
-Niemcy-Ukraina 2010,  
polska premiera:  
4 listopada 2011 roku

Zaczyna się niewinnie.

Ot, dwóch mężczyzn wrzuca trupa do wykopanego dołka. Zalewają go betonem, a budowlana spycharka dopełnia dzieła. Trup pogrzebany, życie toczy się dalej. Obok miejsca pochówku trzech panów urządza sobie śniadaniową przerwę. Mury starych zakładów przemysłowych, betonowe sieroty po komunizmie, jak co dzień świecą odrapanymi ścianami. Wszystko jest w porządku.

To jedynie czołówka filmu Siergieja Łoźnicy. Urodzony na Białorusi reżyser w swym fabularnym debiucie zabiera nas w podróż po miejscu przeklętym. Jego *Szczęście ty moje* jest filmem upiornym, obrazem postkomunistycznej jałowej ziemi wypłukanej z humanizmu, dobra i resztek współczucia. Przewodnikiem po tej niebezpiecznej krainie jest Georgij (Wiktor Nemet), trzydziestokilkuletni kierowca ciężarówki, który właśnie zgubił drogę. Gdy na leśnej szosie

doszło do wypadku, a przejazd został zablokowany na kilka godzin, Georgij postanowił skorzystać z objazdu. Stracił orientację na jednej z polnych dróg. Noc spędzona na pustkowiu okazała się początkiem koszmaru jego życia. W towarzystwie Georgija zagłębimy się w mroczny świat filmu Łoźnicy i wraz z nim będziemy świadkami ludzkiej małości i zła.

Polskim kinomanom nazwisko Łoźnicy nie jest obce. Choć *Szczęście...* jest jego fabularnym debiutem, to reżyser dał się już poznać naszej publiczności, a jego filmy dwukrotnie triumfowały podczas Krakowskiego Festiwalu Filmowego. *Szczęście...* wiele zawdzięcza dziełom Łoźnicy dokumentalisty. Autor, który w *Blokadzie* i *Rewii* ze starych fragmentów filmowych, z kronik i dokumentów wygrzebanych w archiwach sklejał własne opowieści o historii, władzy i komunizmie, i tym razem jedną z głównych bohaterek swojej opowieści czyni historię.

Losy prostego kierowcy ciężarówki są ledwie pretekstem do mówienia o tym, jak historia zatacza krwawe koło. U Łoźnicy przeszłość i teraźniejszość spotykają się na jednym planie. Dawne tragedie pociągają za sobą kolejne, a konsekwencje grzechów prześladowają bohaterów przez długie lata. Poznajemy zatem historię starszego autostopowicza, który wracając z wojny, został okradziony przez milicjantów i w przypiływie złości zabił jednego z nich. Były żołnierz sam wymierzył sobie karę – zaczął życie bezdomnego, stracił narzeczoną, dom, przestał używać własnego imienia.

Inni bohaterowie Łoźnicy nie są tak autokrytyczni. Nikt nie dokonuje tu samobiczowania, nikogo nie męczą wyrzuty sumienia, a snów nie mącą obrazy krwi na rękach. Zramolały starzec idący leśną drogą z dumą

będzie mówił o wojennych zbrodniach, zabijaniu jeńców i zbiorowych mogiłach, które sam zapełnił, a dla pary żołnierzy zabicie wiejskiego nauczyciela okaże się banalnie proste. Bo choć u Łoźnicy zmieniają się epoki i stroje, natura ludzi zamieszkujących to miejsce pozostaje niezmienna. Wszyscy skłonni są do zła. Nie ma w nich jednak nic demonicznego – zło, o którym mówi reżyser, jest prozaiczne, nie ma w sobie pierwiastka mistycznego, jest wypadkową ludzkiej podłości, głupoty i chciwości.

Kreśląc ponurą panoramę dziejów, białoruski twórca pokazuje, że jednym ze źródeł deprawacji i społecznego upadku jest skorumpowana władza pozbawiona poczucia odpowiedzialności, za to skora do wykorzystywania swej siły. Nieprzypadkowo *Szczęście*... zamknięte jest w wyraźnej narracyjnej klamrze, a podróż Georgija rozpoczyna się od milicyjnej kontroli i kończy na tym samym przydrożnym komisariacie. Milicjantów i żołnierzy będzie tu zresztą więcej. Wszyscy oni są brutalni, upajają się władzą, chętnie posuwają się do

okrucieństwa. Zupełnie jakby to mundur czynił z nich zwierzęta, a poczucie władzy dawało całkowitą bezkarność. U Łoźnicy mundur jest bowiem symbolem bezmyślnego zła, niskich stadnych instynktów. Nawet dresiarze z prowincjonalnego ryneczku wyglądają jak umundurowana gwardia, gdy wydają wyroki na swoje ofiary.

W filmie reżysera *Rewii* historia pojedynczego bohatera, na wskroś przeciętnego i banalnego, jest punktem wyjścia do opowieści o postkomunizmie i Rosji jako takiej. Łoźnica nie boi się śmiałych metafor, przez co czasem grzęźnie w patosie i sięga po dęte symbole. Białoruski twórca ulega pokusie widowiskowości i intelektualnego efekciarstwa. Trudno się jednak dziwić młodemu reżyserowi, jeśli przypomnimy sobie, że lwia część literackich reportaży o Rosji pełna jest przesadnej egzaltacji, a w oczach zachodnich pisarzy przydrożny kamień może stać się symbolem upadłego caratu, zaś zmurzały mur – metaforą komunizmu. Jest bowiem znamienne, że pisząc o Rosji czy też opowiadając o niej

na kinowym ekranie, twórcy tak chętnie monumentalizują swoje historie, każąc w nich widzieć coś więcej niż skromną opowieść o zwykłym człowieku czy miejscu.

Także Łoźnica nie potrafi oprzeć się pokusie intelektualnej majestatyczności. Jego film próbuje mówić o zbiorowej tożsamości, o wielkiej historii i narodzie przez nią zniszczonym. I choć *Szczęście...* nie ma tyle dyskretnego piękna co *Papierowy żołnierz* Aleksieja Germana ani wyrafinowanego chłodu *Ładunku 200* Aleksieja Bałabanowa, to stanowi wiarygodną opowieść o społeczeństwie pogrążonym w marazmie.

W świecie, o którym mówi Łoźnica, wszyscy biernie czekają na nadejście lepszego jutra. Kierowca (świąteczny Boris Kamorzin) wiozący głównego bohatera w jednej z ostatnich scen filmu mówi do Georgija, że w Rosji możesz robić wszystko, bylebyś się nie wychylał, a jedyne, czego potrzeba do życia, to „robota, którą lubisz, dziewczyna i trochę pieniędzy”. U Łoźnicy tacy jak on stanowią większość. Są zniewoleni, niezdolni do samodzielnego myślenia, a zarazem pozbawieni poczucia wspólnotowości. Reżyser bowiem dowodzi, że komunizm nie tylko zabił zbiorową tożsamość, ale też zniszczył wartości, na których mogła zbudować się nowa tożsamość. Białoruski twórca pokazuje świat, w którym ludzie dostrzegli już złudność własnych nadziei, „wizji zbawienia”, jak pisał rumuński politolog Vladimir Tismăneanu o mitach rodzącej się w postkomunistycznej rzeczywistości (dziś to właśnie rumuńskie kino najlepiej opisuje tożsamość Europy Środkowo-Wschodniej).

Mówiąc o wielkich społecznych przemianach, o narodowych traumach i złamanym rosyjskim duchu, Łoźnica kreśli także realistyczną pocztówkę prowincjonalnej Rosji.

Nie ma tu nowych Ruskich, szklanych domów i drogich futer. Na targach spotykamy niedomytych panów, a okutane chustami panie sprzedają kozy i brzoźowe miotły. Lokalnymi drogami tłuką się sterane tatry i robury, co jakiś czas poboczem przejdzie bezdomny z foliowym tobołkiem mieszczącym dorobek życia, a na przydrożnej stacji benzynowej ciągle brakować będzie paliwa. Bo choć białoruski twórca nie stawia na realizm ani dokumentalną obserwację, to na drugim planie udaje mu się pokazać smutną rzeczywistość rosyjskiej prowincji.

Gdy podczas filmowych festiwali pokazywano *Szczęście...* polskiej publiczności, było słycać porównania do *Domu złego* Wojciecha Smarzowskiego, jednego z najlepszych polskich obrazów ostatniej dekady. Film Łoźnicy jest bowiem podobny do tej mrocznej opowieści o nadwiślańskiej rzeczywistości. Jak u Smarzowskiego, tak i tu mamy portrety ludzi moralnie skarłałych, motyw zdegenerowanej władzy, smoliste tonacje zdjęć i koszmarny wizualny lejt-motyw – siekiera, prymitywne narzędzie mordu to symbol namacalności zła.

Zarówno u Smarzowskiego, jak i w filmie Łoźnicy otrzymujemy wreszcie smutną opowieść o świecie pogrążonym w marazmie i społeczeństwie pozbawionym tożsamości, złożonym z ludzi, których moralne kręgosłupy przetrąciła historia. Minimalistyczny, wysmakowany debiut uznanego dokumentalisty jest filmem równie okrutnym, co jego bohaterowie. Z jednej strony uwodzi nas pięknymi kadrami filmowanymi z wycuciem przez Olega Mutu, z drugiej – uderza obuchem, pokazując świat wyprany z nadziei, rozpadający się i skazany na całkowity rozkład.

Bartosz Staszczyszyn

